

## Recenzja: STAX SR-L700

Opublikowano 23 stycznia 2016 » Kategorie: Recenzje, Słuchawki » 24 Komentarze

[Zaloguj się](#)



Mantry słuchawkowej powtarzał nie będę. Wiadomo, dokoła słuchawki i coraz więcej. Ale oczywiście jedno drugiem nierówne, a także podzielone na warstwy. Na słuchawkowe klasy społeczne, co do których zawsze są spięcia, ale generalnie utrzymuje się pogląd, że arystokrację stanowią elektrostatische. To nie jest pogląd ukształtowany przez odbiorców, jakoś między użytkownikami utarty, tylko same firmy od dawien dawna tak uważały, zwłaszcza Stax, który wszedł w elektrostaty w 1960-tym, a po nim wielu innych, jak Audio-Technica, Koss, Beyerdynamic, AKG, czy Sennheiser. A zatem same tuzy – i nie ma co się spierać, mają te elektrostaty swoje przewagi, renomę i autorytet. Mają też jednak wysokie koszty produkcji i trudny do utrzymania technologiczny reżim, co jednych po drugich od ich produkcji odciągało, zwłaszcza odkąd pod koniec lat 80-tych Sony i Grado pokazały świetne słuchawki dynamiczne. W efekcie na placu boju w drugiej połowie lat 90-tych ostał już tylko sam Stax, który je wypromował i który mężnie przetrwał w zupełnej izolacji. Ale miało to swoje zalety, zwłaszcza tą, że poczytywany był dzięki temu za firmę najwybitniejszą, produkującą najlepsze słuchawki na świecie. Wielu usiłowało mu to odebrać, ale nikomu (przynajmniej w sensie obiegowej opinii) się nie udało i pozycja firmy pozostała niezachwiana, a wprowadzone w 1998 roku Stax SR-007 Omega II z miejsca zyskały tytuł najlepszych na świecie, dzierżąc go nieprzerwanie przez lat czternaście, do roku 2012-ego. Dopiero wówczas pojawił się następca, model SR-009, nie przez wszystkich zresztą uznany za jednoznacznie lepszy.



Lecz jak to czasami bywa, po latach posuchy i zastoju coś drgnęło i zaczęło się zmieniać. Najpierw firma KingSound z Hong Kongu wypuściła w 2013 własne, dość przystępne cenowo słuchawki elektrostatische, a dwa lata później niemiecki gigant Sennheiser ogłosił powrót na elektrostatische domenę swymi jubileuszowymi Orpheus II, za astronomiczne z kolei pieniądze. Te pierwsze są już dostępne i nawet recenzowane, a drugie na debiut dopiero czekają. Dołącza jeszcze do nich kolejny konkurent, opracowany przez znanego dostawcę słuchawek planarnych, HiFiMAN-a, również astronomicznie drogi elektrostatische zestaw Shangri-La, mający inaugurować rynkową obecność

w połowie roku. Ale póki co Staxowi jeszcze serio nikt nie zagroził, a i on nie zasypia gruszek w popiele, atakując nowymi produktami. Nie tak dawno zaproponował tańszy ale bardzo udany model SR-507, a teraz rzuca na rynek dwa kolejne – SR-L500 i SR-L700.

W przypadku pierwszego, tańszego, sytuacja trochę jest dziwna, ponieważ stanowi bezpośrednią konkurencję tej wcześniejszej 507-ki, a jednocześnie nikt nie ogłosił, że ją zastępuje. Natomiast recenzowany teraz L700 jest dwakroć droższy, z czym łąduje niewiele poniżej wciąż produkowanej Omegi II, tak więc z kolei dla niej wewnętrzną jest konkurencją. Oba modele z sygnaturą L w nazwie są przy tym bezpośrednim nawiązaniem do tradycyjnej u Staxa serii Lambda, debiutującej w 1979 roku i poprzedzanej dwa lata starszą linią Sigma, datującą się na rok 1977.

Jak zatem widać, zadomowił się Stax w greckim alfabecie, literami  $\Sigma$ ,  $\Lambda$  i  $\Omega$  znakując swe trzy wiodące linie produkcyjne. Nie pojawiły się one jednak na samym starcie, jeszcze w 1960, jako że te najstarsze staxowskie „earspeakery” nosiły gołe oznakowania SR, i sam takie SR-5 z 1975 roku miałem i mam nadal, tyle że wysłużone, już nie grające.

## Budowa



Kiedyś wyśniony, niedostępny obiekt westchnień wszystkich miłośników dobrego, słuchawkowego brzmienia...

Jak to zwykle u Staxa, nowy model opatrzone glossą techniczną, w której czytamy, że zastosowano w nim nowego typu elektrody, wycinane z arkusza metalu za pomocą obróbki fotochemicznej i uszlachetniane poprzez dyssypację termiczną, czyli mówiąc prościej wyżarzanie bądź wyprażanie. Jak u wszystkich Lambd, a w opozycji do okrągłych Omeg, mają te siatki elektrodowe kształt wyraźnie podłużny, zakończony półkolami, w obustronnym uścisku obejmując i napędzając prądem o napięciu 580 V ultracienką membranę polimerową. Cały przetwornik jest starannie zabezpieczony przed działaniem wilgoci, dzięki czemu szczególnie jest trwały, i nie zabrakło też przypomnienia, że siła stwórcza dla dźwięku, obustronnie u elektrostatów odkształcająca diafragmę, pojawia się praktycznie na całej jej powierzchni natychmiast (bo z prędkością elektronów w metalu), a nie jak u słuchawek dynamicznych rozchodzi centralnie od cewki. Pozwala to na istotną redukcję zniekształceń i szybszą odpowiedź impulsową, co w połączeniu z cienkością i elastycznością membrany powinno dawać dźwięk szybszy, bardziej dynamiczny i bardziej subtelny.

Tak sporządzone przetworniki łądzą w komorach z tworzywa, nie tylko tradycyjnie dla Lambd podłużnych, ale też tradycyjnie otwartych. (Tylko jedne spośród wielu w historii Lambdy były zamknięte.) Od góry wieńczy je pałak, analogiczny jak w modelu 507 i dziedziczący po flagowych SR-009 nowszego typu 10-cio punktową regulację zawieszenia. Składa się z plastikowych obejm, skórzanego paska i wysoko nad nim biegnącego pałaka właściwego, w postaci dwóch stykających się płaskowników. Szczerze mówiąc cała konstrukcja nie wygląda specjalnie solidnie, zwłaszcza łatwo odginające się plastikowe widełki uchwytu, ale według dystrybutora nie ma się czego obawiać, ponieważ identyczny pałak z modelu 507 nigdy nie uległ awarii. Zdarzały się one u starszych Lambd, i właśnie dlatego wprowadzono modyfikacje, a najwyraźniej skutecznie. Trochę szkoda jednak, że obejmy u słuchawek za ponad sześć tysięcy są plastikowe. Ale nawet gdyby były z metalu, plastik i tak pozostałby dominantą, jako że same muszle są nie czym innym jak siatkami z plastikowych prętów dokoła przetworników, co jest rozwiązaniem tradycyjnym, dekady wstecz sięgającym. A jednak mimo to plastikowa Lambda stała się synonimem świetnego brzmienia i obiektem marzeń. Sam przez lata o takiej marzyłem z pozycji posiadacza dużo skromniejszych SR-5, a oglądany na zdjęciach plastik ani trochę mi nie przeszkadzał. Nawet mi nie powstało w głowie, że coś z nim może być nie tak i do słuchawek tak ekskluzywnych niespecjalnie pasuje. Tworzyły te Lambdy w latach 80-tych sam szczyt oferty Staxa, a ich ceny, oscylujące w okolicach tysiąca dolarów, pozostawały dla odciętych od Zachodu żelazną kurtyną polskich audiofilów czymś zgoła abstrakcyjnym.

W zamian za nie pasujący do ceny plastik obudów i pałąka, Lambda L700 może się pochwalić nowo opracowanymi, mającymi nowego typu wypełnienie, poduszczkami padów; jak przystało na luksusowy wyrób obszytymi naturalną skórą jagnięcą.



Teraz przykład tego, jak wiele można stracić dążąc do sukcesu, i jak ciężko wrócić z powrotem – Stax SR-L700.

Jeszcze bardziej zmyślny jest przewód, złożony z sześciu żył po dziewięć drucików każda, z których trzy wewnętrzne tworzą miedziany rdzeń podtrzymujący, naokoło którego rozmieszczono gwiazdźście sześć przewodów z miedzi powlekanej srebrem, tak więc sygnał, w następstwie efektu naskórkowości, praktycznie biegnie tu w srebrze. Przewodzący stop srebrno-miedziany okazuje się być w świetnym gatunku, o czystości 6N, co powinno dać się usłyszeć.

Do kompletu firma oferuje za osobne pieniądze drewniany stojak i przezroczysty pokrowiec, natomiast nie wypowiada się o zalecanym energizerze; ale możemy przyjąć, iż powinien to być jeden z dwóch szczytowych – SRM-007tII lub SRM-

727II.

Nowe Lambdy lądują w tekturowym pudełku, wewnątrz którego, tak jak u 507, znajdujemy jedynie styropianowy profil ochronny, skromnie zastępujący kejs podróży czy pudło domowego popisu – bardziej na pewno przystojące tej klasy słuchawkom.

Całość powstaje w nowych zakładach Staxa, położonych opodal wciąż istniejących ale nie nadających się do rozbudowy dawnych – przy czym obie fabryki lokują się na obrzeżach Tokio, nie zachodzi zatem obawa o ciche przeniesienie produkcji gdzieś na obszary trzeciego świata. Słuchawki STAX wciąż i nieodmiennie pozostają Made in Japan.

Ostatnie co ważne – kosztują te szczytowe teraz Lambdy równowartość 1500 €, przeliczaną po kursie bieżącym. Na osłodę mieć je pragnącym zostaje, że gdy kupujemy wraz z energizerem (czyli firmowym wzmacniaczem), możemy liczyć na jakiś upust. Trzeba go będzie samemu wynegocjować, ponieważ Stax nie oferuje – przynajmniej nie na razie – uwzględniających niższą cenę kompletów, ale raczej nie będzie to wymagało specjalnego zachodu.

Na koniec moje zdanie, w sensie bardziej osobistego podejścia. Patrząc na rzecz racjonalnie, nowy produkt Staxa całkiem udanie wydaje się łączyć minimalizm estetyczny z maksymalizmem technicznym i dobrą ergonomią. Grają te Lambdy super i leżą na głowie wygodnie, a plastiku wtedy nie widać. Poza tym nawiązuje on do chlubnej przeszłości, co szybko sobie uświadomiłem. Nie natychmiast, w pierwszym odruchu kontestując tę plastikowość, ale po chwili dotarło do mnie, że to przecież owe sławne Lambdy, których tak kiedyś pragnąłem. Mój boże, gdybym je mógł zdobyć w latach 80-tych... Nie ma teraz na świecie takiej rzeczy związanej z audiofilizmem, której posiadanie mogłoby sprawić podobną radość. Z wiekiem przygasają emocje i chęć posiadania staje się mniej natarczywa, a radość używania nie smakuje tak bardzo. Dlatego trzeba się śpieszyć z muzyką, by się nią zdążyć nacieszyć. Z muzyką podaną wykwinnie, na suto zastawionym stole, a nie byle jak w pośpiechu łapaną, niczym zapiekanka w fast foodzie.



To dość niesamowite, że (plastikowa) bryła słuchawek z serii  $\Lambda$  nie zmieniła się zasadniczo od...1979 roku!

## Odśłuch



Jednych to odstrasza, drugich przyciąga jak magnes, ale każdy audiofil powinien pamiętać, że kiedyś to świat szedł za Staxem, i z reguły nie nadążał...

Słuchawki dotarły solo, bez firmowego wzmacniacza, ale nie prosiłem o niego z premedytacją, ponieważ posiadam lampowy energizer KingSound M-20, będący skromną wprawdzie, ale wzorowaną na legendarnym T2 repliką najświetniejszego wzmacniacza w historii Staxa. Wzmacniacza nieuchwytnego jak bozon Higgsa, powstałego w kolekcjonerskiej zgoła ilości pięćdziesięciu ledwie egzemplarzy i kosztującego na rynku wtórnym majątek. Konkretnie bez jakichś dwudziestu co najmniej tysięcy dolarów na rękę, nie ma się nawet co przymierzać.

Dziedziczy ten M-20 po swoim wzorcu cztery lampy mocy EL-84 i dwa sterowniki ECC83, uzupełniane lampą prostowniczą 6V6; natomiast nie dziedziczy zewnętrznego zasilania ani przyłączy symetrycznych, ani też szczególnie skomplikowanej topologii obwodów tudzież pięknej obudowy. Wraz z lepszym garniturem lamp, pochodzących od Gold Lion, kosztuje na rynku amerykańskim 2150 dolarów i w tej formie tutaj wystąpi. Ma co prawda minimalnie, bo tylko o 20 Voltów, inny prąd podkładu niż opiewa staxowska norma, ale porównywałem go swego czasu z nie produkowanym już, ale uchodzącym za szczególnie udany energizerem SRM-717 i mi się bardziej jako napęd dla Omegi II podobał.

### Przy komputerze

Zacznijmy od komputera i w świetnym, wymagającym towarzystwie. Albowiem zacznijmy od

porównania z systemem nawet droższym, złożonym ze zrecenzowanego na dniach wzmacniacza Audion Silver Night PX-25 i podłączonych doń słuchawek ortodynamicznych HiFiMAN HE-6. W dodatku z jedną zmianą względem tamtej recenzji, zmianą wzmacniającą, mianowicie z lampami E88CC Valvo, bardziej pasującymi od używanych wówczas Philips SQ.

Ten system to połączenie transparentności, szybkości i mocy, a jednocześnie lepiej teraz wypełniony, z dużo mocniejszym basem. Psia krewka, wygląda na to, że mimo iż ten Audion był wcześniej u innego recenzenta, nie zadano sobie trudu jego pełnego wygrzania. Zresztą, nie chcę spekulować. Faktem jest, że ze sterownikami Valvo i po kilkudziesięciu godzinach dalszego najazdu gra lepiej, to znaczy pełniej. Moc ma nie tylko w postaci miażdżącej głośności wolnej od zniekształceń, budzącej satysfakcję szybkości oraz spektakularnej dynamiki, ale też masywności.



Pięćżyłowy kabel od słuchawek Stax również nie wybiera się na audio-emeryturę...

Nie jakiejś zjawiskowej, ale już takiej ważącej na rękę. A ponieważ tego właśnie mu brakowało, to teraz naprawdę brzmi super. Niełatwo mnie skłonić, bym na jakieś audiofilskie precjozum popatrywał z szacunkiem, a jeszcze trudniej, by z pożądaniem. Bym, mówiąc kolokwialnie, zwyczajnie ochotę miał słuchać, i jeszcze do tego stopnia, by innych spraw zaniechać. A tak właśnie zdarzyło się wczoraj i w noc głęboką na tym Audionie wjechałem. Tymczasem słuchawki Staxa – elektrostatyczny wróg śmiertelny planarów – grzały się opodal z Cairnem, aby także być w formie. No i się zesłi na koniec w obecnej konfrontacji, a rzecz przebiegła następująco.

PX z HE-6 zagrały jak właśnie napisałem i w stylu zdecydowanie skłaniającym do głośnego słuchania. Nie na zasadzie, że gdy ciszej to jakoś się robi niedobrze, tylko szkoda było nie korzystać z tej proszącej się o użycie mocy. Do kwestii transparentności i separacji nie będę wracał, bo zostały dokładnie wyłożone w recenzji, a o większej masywności i mocniejszym basie wspomniałem. Wypada jednak poruszyć kwestię jeszcze jedną, mianowicie sprężystą nieprzenikliwość dźwięku. Nie był twardy, układając się ochoczo wzdłuż linii melodycznych w pełne gracji figury, ale zarazem czuć było jego prężność, niemożliwość przenikania przezeń na wylot oraz moc ciosu. Bardzo wyraźnie ta moc pulsowała, niczym w drapieńcy czającym się do skoku, a kiedy wybuchała muzycznym atakiem, cała przestrzeń dostawała szału. Tak więc zarówno struny gitary klasycznej Andreasa Segovii, jak i te elektryczne rockowych gitar, jak również wszelki perkusyjny łomot albo tutti orkiestry, posiadały szczególną prężność na bazie wielkiej mocy. I była to prężność dużo bardziej energetycznego gatunku niż ta ze słuchawek w rodzaju Beyerdynamic DT990, które też wprawdzie sprężysto pulsują i to ich pulsowanie lubię, ale nie ma w tym takiej czającej się i wybuchającej mocy. Pewna jest i uderza, lecz nie aż taka. Co jednak najbardziej mi się podobało, to bardzo silnie przywoływana obecność; a co najmniej, to pewien niedostatek ciepła, właśnie tę obecność osłabiający. Może to tylko kwestia czasu, a może nie – nie chcę zgadywać.

Abyśmy nie popadli w przesadę dodam, że na pewno nie był to poziom jaki da się uzyskać z Twin-Head przy Accuphase, ale też na pewno daleko lepszy niż ze sprzętu komputerowego uważanego za bardzo już dobry. A zatem? Co na to Stax?

## Stax i komputer

To chyba nie jest częste spotkanie, chociaż w dzisiejszych czasach zapewne coraz częstsze. Cyfrowe pliki mp3 odtwarzane przez wzmacniacz lampowy i słuchawki elektrostatyczne? Kiedyś to by było nie do pomyślenia i straszny megalomans. A teraz bierze się lepszego już przeważnie gatunku pliki z YouTube, Tidal albo własnego dysku i jest to najnormalniejsza rzecz w świecie. Ale mimo wszystko



Ergonomia i wygoda Lambd jest znana od dekad i ciężko sobie wyobrazić sprawniejsze rozwiązanie.

wszechobecnej migotliwej pulsacji, którą możemy traktować jak rodzaj szczegółowości, chociaż to uproszczenie. Bo nie jest ona szczegółowością gdzieś obok muzyki – że oto jest muzyka i prócz niej jest szczegółowość – tylko w samej muzyce żywa, ją samą budująca. Na każdej fakturze obecna i w głębi każdej melodii. W dźwiękach trąbek, w strun drzeniu i na każdej membranie. Tak jakby każda powierzchnia i każde muzyki technienie miały dodatkową wibrację, czyniącą wszystko żywszym, bardziej niespokojnym. Jakby dźwięk cały był chmurą drobin wibrujących, a nie pulsującą powierzchnią o odczuwalnej twardości, przez którą się nie przebijesz. W efekcie owo elektrostatyczne bytowanie muzyki żadnej elastyczności ani twardości nie miało, a tylko sam migoczący obłok.



Regulacja headbandu pracuje jak zawsze bardzo pewnie.

bazowały na tej swojej skumulowanej energii, a elektrostaty ani trochę tego nie robiły; a także o tym, że z kolei elektrostaty były zdecydowanie bardziej muzykalne. Pracowała ta ich muzykalność zarówno na rzecz samej obecności muzyki, jednak u nich silniejszej, jak i na korzyść każdej słabostki nagraniowej, dzięki czemu słabsze jakościowo nagrania zdecydowanie w ich wykonaniu zyskiwały. Natomiast to pierwsze sprawiało, że ich dźwięk był delikatniejszy, drobniejszy i o wiele bardziej miękki, a w efekcie miękki także był bas. Nie zatem grzmocący, niczym po łbie muzyczną pałą, tylko otaczający basowym, akustycznym obłokiem o niskim zejściu ale też niskiej twardości.

Oba style nie były przy tym zbyt tajemnicze tylko raczej realistyczne, chociaż lekka tajemniczość czasami się pojawiała. Natomiast co jeszcze ważne, to to, że u Lambd wyraźnie wyższy był sufit, to znaczy dźwięk dużo bardziej pracował na osi dół-góra. Nie parł naprzód w płaszczyźnie horyzontu energetyczną falą uderzeniową, tylko rozprzestrzenił się szerzej i wyżej, zgodnie ze swą chmurną naturą migotliwego roju. Należy jeszcze dorzucić, że elektrostaty na tle ortodynamików szczególnie dobrze odtwarzały instrumenty dęte a najslabiej perkusyjne, jako że najlepszą miały wibrację a najslabsze ciosy. W ślad za tym głosy ludzkie prezentowały też wibracyjnie i miękko, bez żadnej

jeszcze nieczęsta.

Pierwsze wrażenie? Od tego trudno uciec – słuchawki Staxa o połowę są lżejsze i bez porównania bardziej wygodne. Jedną mam tylko uwagę – uszy trochę dotykały mi przetworników, tak więc pady powinny być chyba grubsze. A dźwięk? Ano właśnie. Ten zupełnie był inny. Nie naprężony niczym fortepianowa struna, tylko bardziej jak rój muzycznych drobin wszędzie przenikający, kaskadą migotek skrzący się na tle czarnym. Nie jak śnieg, bo ten jest srebrzysty i chłodny, tylko dotykiem pieszczący złocistym i ciepłym. Wszędobylskim, przyjaznym i super efektownym. Efekt biorącym zaś bardziej z szybkości, rozwarcia pasma, czystości medium i tej

Przesadam z tym opisem, specjalnie akcentując różnice, ale faktycznie pojawiły się zasadnicze jak chodzi o materię brzmienia. Tu twardość pulsująca, a tu migotliwość nie stawiająca oporu. Oczywiście były też punkty wspólne, a zwłaszcza transparentja, u obu w popisowej postaci. Innego rodzaju zaś separacja, bo wszystko bardziej u elektrostatów zmieszane i współgrające, niemniej także u nich spektakl całkowicie był uporządkowany i super czysty. Poszczególne źródła dokładnie opisane, a tylko bardziej kooperujące, nakładające swe dźwięki.

Wracając jeszcze do różnic, o dwóch zwłaszcza chciałbym powiedzieć. O tym, że ortodynamiki

wyczuwalnej twardości i mocniejszych akcentów. Tak w skupieniu na melodyce głosu i jego bardziej kobiecej naturze, podczas gdy u ortodynamików głosu były twardsze, a więc i bardziej męskie.



Oczywiście, można powiedzieć, że moda jest teraz inna, ale z drugiej strony, może to Stax pokazuje, z jak pozornym postępem mamy teraz do czynienia...?

Ale to wszystko nie znaczy, że nie było u elektrostatów basu ani potęgi brzmienia, a tylko że bas nie był twardy, a potęgę brały z wyjątkowego ożywiania przestrzeni a nie jej energetyzacji. Całe w ruch na niespotykaną niemal skalę wprawiały medium i bardzo to było spektakularne, chociaż bez tej niszczycielskiej siły, jaką oferował ortodynamiczny konkurent. Grały przy tym z pogłosem zaznaczającym się lecz niezbyt silnym oraz akustyką w tej chmurze a nie na samych powierzchniach odbicia. Natomiast – i to chciałbym mocno podkreślić – bez żadnego nadmiernego uciekania w soprany. Żadnych pisków ni syków, żadnego skwierczenia, tylko nawet u nut najwyższych przestrzennie i z zachowanie smakowego charakteru dźwięku, a więc dokładną relacją od czego on pochodzi. Czy od drewna, czy z metalu, czy też z ludzkiego głosu. Żadnego zatem zawężania do punktów albo linii i gołego, bezpostaciowego pikania. Sopranów podawały przy tym więcej niż basu, ale z pełną kulturą i różnorodnością. Jednakże, podkreślmy to raz jeszcze, z dźwiękiem całościowo bez twardości i zdecydowanego łupnięcia, a więc strunami i membranami dużo słabiej niż u ortodynamików naciągniętymi.

## Odsłuch cd.: Z odtwarzaczem CD



Sprawdźmy, jak wypada nowe wydanie starej technologii, która wciąż fascynuje.

Przeniosłem się pod odtwarzacz SACD, a więc źródło do niedawna jeszcze dominujące, które lat temu parę zdawało się być przyszłością niczym nie zagrożoną. A teraz format SACD poległ już całkowicie, a płyty CD coraz bardziej przegrywają z plikami i winylami. Ale się jeszcze trzymają i trzymać jakiś czas będą, a zatem teraz o nich.

W sumie, to na podstawie odbytego odsłuchu ze słuchawkami elektrostatycznymi należałoby przyjąć, że płyty CD nigdy z powodu plików wymrzeć nie mają prawa, bo to by była obraza boska i audiofilska herezja. Oczywiście Accuphase DP-700 to nie jakiś zwykły sobie odtwarzacz, a reszta toru także nie była taka sobie. Niemniej różnica pokazała się zasadnicza i jak łatwo po tym co już zdążyłem

napisać zgadnąć, na korzyść odtwarzacza. Przede wszystkim zanikło to granie chmurą migotek, na której miejsce pojawił się dźwięk normalny, solidny, mający powierzchnię. Nie taki do rozgonienia poprzez machanie rękami (wygłupiam się, ale nie całkiem), tylko mający postać zasadniczą, niezniszczalną. Przybyło też oczywiście masy, basu i dociążenia, aczkolwiek dźwięk nie został obniżony tonalnie, tylko jak poprzednio pozostawał dość prawidłowy; z minimalną tylko odchyłką do góry, zupełnie nie przeszkadzającą i łatwą do skorygowania, na przykład poprzez wymianę lamp sterujących wzmacniacza. No ale... Ale siedziałem, słuchałem i nie wiedziałem co sam do siebie powiedzieć, żując słowa mało parlamentarne. Bo niby już wszystko masz rozgryzione i wiadomo jak Lamby te grają, a

tutaj figę z makiem, bo potrafią całkiem inaczej. No może nie aż zupełnie, jako że na pozycję ortodynamików z tą swoją konkretną twardością się na pewno nie przetoczyły, niemniej to z pewnością były brzmienia konkretne a nie migotliwe obłoki. Też magiczne, także niezwykle, ale o innej budowie. Bo już z powierzchniowym konkretem, ale dalej z wyjątkową przenikliwością, pulsacją, szczegółowością, przestrzeni ożywianiem.



I to z pomocą równie odpornych na upływ czasu technologii: elektroniki lampowej...

satisfakcji. Głosy również zmęźniały i nie były już pozbawione męskości, nie odbiegając pod tym względem od stylu słuchawek dynamicznych. Tak więc owa misterność i przenikliwość teraz były już dodatkami a nie naczelnym daniem. I w tej roli działały dwojako: jako urozmaicenie, ale zarazem pewne odciążenie od głównego muzyki nurtu. A zatem do postrzegania jako urozmaicenie, ale trochę jednak zakłócające jednoznaczność odbioru.

Co jeszcze ze spraw ważnych. Nowe Lambdy okazały się blisko lokować plan pierwszy i w odróżnieniu od Omeg nie wykazywać szczególnej dbałości o całościowy spektakl sceniczny. Akustyka pomieszczeń słabo się w nich zaznaczała, aczkolwiek sam dźwięk nienagannie był akustyczny. Nie było odczucia wielkiego obszaru ani przenikania na wielką głębię, mimo że medium idealnie było przejrzyste i doskonale wraz z tym ożywianiem przestrzeni odczute. Sama zaś sygnatura brzmienia wyraźnie nawiązuje do modelu flagowego SR-009, tyle że właśnie bez takiej bardzo dalekiej obszarowo przenikliwości. Natomiast szczegółowość, misterność, wyraźność rysunku na pierwszym planie i poczucie naturalności były tutaj analogiczne. Bez ocieplenia z dawnych Omeg i bez pewnego chłodu tych najnowszych. No i bez tej ich holograficznej przestrzeni. Ale ogólnie biorąc, z uwagi na misterność, naturalność, przejrzystość i precyzję są nowe Lambda SR-L700 groźnym konkurentem wszystkich własnej firmy słuchawek uplasowanych wyżej. Bo do SR-009 bardzo podobne i nieznacznie tylko słabsze, a od SR-007 Omega II ani trochę mniej naturalne, a tylko przestrzennie skromniejsze.



...oraz gramofonu. Jaki efekt?

Taką misterną przenikliwością, zdolną uchwycić każdy niuans i go otoczyć pieśczętą najmniejszych mięśni, ale już na bazie konkretnego – mocnego podścieliska, bytu jak najbardziej trwałego. Że można go wałnąć i on w ciebie wali, czyli mówiąc mniej zawadiacko – jest namacalny. A zatem jak najbardziej obecność a nie ezoteryka, ale obecność specjalna, szczególnie czule dotykająca. Bo jest w tych elektrostatach inny duch sprawczy muzyki: bardziej delikatny, o drobniejszych paluszkach, a także bardziej buszujący. Cały czas czuć jak się wije i jak wszystko przenika, chociaż z tym wielkim Accuphase stał się mocniejszy, twardszy i dużo bardziej energiczny. Tak więc bas też stał się normalny, solidnie naprawdę grzmocący, a przy tym akustycznie oczywiście mistrzowski, dający masę

A jak jesteśmy przy porównaniach, to porównałem też oczywiście Kingsound KS-H3 i było to porównanie pouczające. Słuchawki z Hong-Kongu mają swoje zalety, ponieważ są także konkretne, a bas mają nawet twardszy i niżej schodzący. Do tego dalej lokowały plan pierwszy, o wiele mocniejsze miały pogłosy i większe wraz z tym czucie akustyki pomieszczenia. Ale nie mogły te wszystkie atuty przyćmić faktu, że Lambda SR-L700 jest o wiele bardziej misterna, lepszego gatunku dźwięki tworząca. Gdy mamy do czynienia z takimi masywnymi, budującymi duże konstrukcje, w typie muzyki elektronicznej albo symfoniki, ta różnica aż tak się nie narzuca, ale gdy tylko przechodzimy do repertuaru bardziej uwidaczniającego



pojedyncze brzmienia, a już zwłaszcza te mniejsze, jak ludzki głos, trącenie struny czy jakąś wibrację trąbki, wówczas wyższość słuchawek Staxa okazuje się zasadnicza. To dużo wyższy poziom przekazania zarówno niuansu, jak i konstruowania całościowej dźwiękowej formy odzwierciedlającej pierwowzór. Tu nie ma żadnej dyskusji – Stax bardzo jest górą.

## Z gramofonem

Na koniec uciąłem sobie mały miting na kanwie gramofonu i muszę stwierdzić, że winylowa muzyka jest dla elektrostacyjnych słuchawek czymś najbardziej pożądanym. Bowiem najwięcej ma tego, na czym tym słuchawkom zależy, to znaczy masy, wypełnienia, energii oraz piękna. To ostatnie pozwala uwypuklić ich maestrię odtwórczą, a te pierwsze uzupełniać pewne niedociągnięcia. Już high-endowy odtwarzacz radykalnie poprawił sytuację spod komputera, ale niewątpliwie z płyt winylowych grały elektrostaty najlepiej. Jeszcze pełniej, jeszcze konkretniej, z jeszcze mocniejszym basem i lepszą obróbką sopranów. Tych ostatnich, tak nawiasem, z odtwarzaczem wciąż słuchaczowi nie żałowały, zdecydowanie więcej ich oferując niż basu, ale z basem już wyraźnie mocniejszym. Natomiast w przypadku płyt winylowych pojawił się nie tylko jeszcze lepszy bas i sopran, ale jeszcze czynnik o wiele większej energii.



Jak zawsze zjawiskowe brzmienie, które w tym wypadku nie ustępuje wiele najdroższemu 009. Pomimo wszystkich trudności, SR-L700 to zjawiskowe słuchawki, po które warto sięgnąć!

Jak zwykle sprawdzałem to między innymi za pośrednictwem *Immigrant Song* Led Zeppelin i nie bez satysfakcji stwierdziłem, że obecna w tym nagraniu wyraźna ściana energii, której z pliku ani płyty CD ani trochę nie słychać, pokazała się może nie aż w całej krasie, ale pokazała niewątpliwie. Czuć i widać było tę ścianę, co jakże było dalekie od chmury dźwiękowych drobin spod komputera. Tak więc tym razem nowe zdecydowanie przegrało ze starym i pliki wylądowały na szarym końcu a winyle dumnie na czele. Bez złudzeń – winyl wciąż pozostaje królem.

## Podsumowanie

Nowe Lambdy są groźne, i to na wiele sposobów. Są groźne dla własnej marki i groźne dla zewnętrznych. Kto bowiem pragnie zaznać, jak grają te wściekle drogie STAX SR-009 (trzy razy prawie droższe), ten kupując lokując się z ceną na poziomie wysokiej klasy dynamicznych SR-L700, będzie miał prawie to samo. O ciutkę mniej subtelności i słabsze przenikanie w sceniczną głębię, ale gdy chodzi o kształt dźwięku i jego poboczne niuanse, to w zasadzie to samo i naprawdę bardzo nieznaczna różnica. Z kolei względem też droższych, chociaż dalece nie tak, STAX SR-007, ta subtelność jest również niemal analogiczna, a tylko scena zdecydowanie skromniejsza, nie tak spektakularna. W zamian styl bardziej realistyczny, niemożliwy do oskarżenia o osładzanie i ocieplanie (w odniesieniu do dawnych Omeg), ani o zbytnią posępnosć (co czasem zarzuca się nowym). Słuchawki brzmią naturalnie a zarazem w sposób niecodzienny subtelny, co z jednej strony jest kapitałem, ale z drugiej wymusza odpowiednią lokatę. Najprościej byłoby napisać, że najpewniejszy będzie bank zwały się gramofonem, ale dobry odtwarzacz da także poczucie szczęścia oraz spełnienia marzeń. (A zatem koncert życzeń.) Najtrudniej będzie przy komputerze, ale na pewno i tu da się wyszukać przetwornik dysponujący odpowiednio gęstym, masywnym brzmieniem, biorącym pod uwagę wymogi elektrostatów a nie zdecydowanie teraz popularniejszych dynamików czy planarów. Nie będę się silił na wskazania, ale skoro ten z wnętrza Accuphase dał sobie łatwo radę, to muszą być też inne.



Trochę odmienne co do natury okazuje się natomiast rozważanie kwestii wyższości w odniesieniu do słuchawek innych niż elektrostatyczne. Tu bowiem cały czas utrzymuje się różnica opisana na pierwszym etapie recenzji, tyle że może mieć ona nie tak drastyczną formę. Dobrze napędzane elektrostaty nie są aż tak migoczące i zwiewne, ale wciąż będą bardziej migotliwe i wciąż dążyć będą do uwypuklania szczegółów, a mniej do wypełniania i oddawania naprężeń. Nie przekażą aż tyle skumulowanej energii, nawet czerpiąc sygnał od gramofonu, chyba że kupicie samego Sennheisera Orpheusa, co wam raczej nie grozi. Są jeszcze wprawdzie w odwodzie transformatorowe przystawki do zwykłych wzmacniaczy, także energię elektrostatom poprawiające, ale z nimi tych Lambd nie sprawdzałem. Gdy jednak marzy się wam przekaz daleko ponad przeciętność subtelny, mogący odtworzyć łopot motyli skrzydeł a jednocześnie bas naprawdę całkiem konkretny oraz niezgorzej twardy, wówczas słuchawki elektrostatyczne winny być pierwszym wyborem. A gdy cenicie muzykalność ponad energię i siłę, to jeszcze tym bardziej. Wiele lat żyłem z elektrostatom i byłem naprawdę szczęśliwy, mimo iż do tych Lambd bardzo dużo im

brakowało. Ale oczywiście i nieodmiennie warto najpierw samemu posłuchać, bo jedni ten typ słuchawek kochają do szaleństwa, a drudzy jakby mniej.

## W punktach:

### Zalety

- Niezwykle rzadko widywana subtelność brzmienia.
- Gdzie każdy szczegół jest wydarzeniem a szelest najcichszy poseszywa.
- Szczególne rozwibrowanie całej muzyki, wyjątkowo sprzyjające brzmieniu instrumentów dętych, ale nie tylko.
- Znakomita szybkość.
- Dobra dynamika.
- Dobre światło – ani ciemne, ani jasne.
- Popisowa przejrzystość medium.
- Równie popisowe ożywianie przestrzeni.
- Brak pogłosowości.
- A przy tym świetna akustyka samego dźwięku.
- Żadnych kłopotów z zawsze przestrzennymi, naturalnie wyrażanymi sopranami.
- Uwodzicielskie piękno głosów.
- Solidny bas. Gdy się postarać, to naprawdę solidny.
- Przy dobrym odtwarzaczu, a jeszcze prędzej przy gramofonie, duża dawka energii i spora sprężystości.
- Mają całościowy, natychmiast słyszalny styl.
- Który wielu się bardzo podoba.
- Pozwalają posmakować jak grają najdroższe Staxy.
- Wygodne.
- Lekkie.
- Sympatyczne.

- Z odwołaniem do retro i wielkiej tradycji własnej marki.
- Nowe przetworniki.
- Symetryczny, wysokiej jakości kabel.
- Skórzane pady.
- Dedykowane wzmacniacze.
- Nie są droższe od wysokiej klasy dynamicznych i planarnych.
- Made in Japan.
- Polski dystrybutor.

#### Wady i zastrzeżenia

- Mniejsza scena niż u wyższych modeli.
- Dużo plastiku, chociaż mnie to nie przeszkadzało.
- Styropianowa wytłoczka to trochę mało jak na opakowanie słuchawek o takiej renomie i cenie.
- Specyficzne, a zatem nie dla wszystkich.
- Wypełnienia i dużej energii nie dostaniemy ot tak.

#### Dane techniczne:

- Słuchawki elektrostatyczne, otwarte, z przetwornikami Push-Pull.
- Pasma przenoszenia: 7 Hz – 41 kHz.
- Pojemność: 110 pF (w tym kabel).
- Impedancja: 145 kΩ .
- Maksymalne ciśnienie dźwięku: 118 dB / 400Hz
- Prąd podkładu: 580V DC.
- Pady z jagnięcej skóry.
- Kabel miedziany, stopowo powlekany srebrem, o czystości 6N OFC, długości 2,5 m.
- Waga: 0.8 lb bez kabla / 1.1lb z kablem
- Cena: 1500 euro.

#### System:

- Źródła: PC, Accuphase DP-700, gramofon Nottingham Horizon z wkładką Ortofon Cadenza Bronze.
- Przetwornik: Phasemation HD-7A192.
- Wzmacniacze: Audion Silver Night PX-25, KingSound M-20.
- Przedwzmacniacz gramofonowy: Audion Premier.
- Słuchawki: HiFiMAN HE-6, KingSound KS-H3, Stax Lambda SR-L700.
- Interkonekty: Harmonix HS-101-Improved, Sulek Audio, Tara Labs Air1.